

# Poznańskie jądro ciemności

Z PIOTREM BOJARSKIM

ROZMAWIAJĄ

JERZY BOROWCZYK

I MICHAŁ LAREK



**Michał Larek: Jesteśmy na ulicy Kantaka, która często pojawia się w Pana kryminałach.**

Ja tędy często chodzę. Z redakcji do banku, na uniwersytet albo do księgarni. Z banku do redakcji.

**Jerzy Borowczyk: Ale dlaczego stała się ważnym miejscem literackim?**

Zawsze okryta była złą sławą. Teraz jest bardzo okaleczona, zostały tylko te dwie bramy, ujawniające pierwotny charakter tego miejsca. Tu się zawsze podejrzane rzeczy działy. Pomyślałem sobie któregoś razu, żeby w Kantaka po prostu wejść.

**M.L.: Pierwotny charakter?**

Poznałem go głównie z tekstów moich kolegów dziennikarzy, pamiętników, wspomnień różnych osób. Przed wojną były tu szemrane knajpy, burdele, tu było Moulin Rouge... Albo Tunel Bismarcka, lokal gastronomiczny znany jeszcze przed pierwszą wojną światową. Takie poznańskie „jądro ciemności”, od którego warto zacząć.

## Stłamszona przestrzeń

**J.B.: Pana powieści rozgrywają się w gruncie rzeczy w przestrzeni kilku ulic.**

No, nie do końca. Raz mamy Wilgę, innym razem śródmieście. W *Meczu* są też Górczyn, dworzec kolejowy albo zakłady Cegielskiego. Ale potwierdzam – najlepiej znam centrum. Od zawsze tu pracuję. Poznań to chyba przede wszystkim centrum, to miasto zawsze się dusiło w tych pruskich murach. Najważniejsze rzeczy działy się w tej stłamszonej przestrzeni.

**M.L.: Zna Pan jakieś legendy, niesamowite opowieści o tej ulicy?**

Słyszałem opowieść o kelnerze z tutejszych lokali, który jako kat miał wieszać Arthura Greisera, namiestnika Rzeszy w Kraju Warty. Wiecie, panowie, że w rzeczywistości katem miał być jakiś młody żołnierz, który stracił bliskich na wojnie? Opisał to Józef Hen w jednym ze swoich opowiadań. Tyle że ten młody żołnierz, zresztą ordynans generała Roli-Żymierskiego, odmówił... Wejźmy w tę bramę. To prawdziwa okazja, bo ona zazwyczaj jest zamknięta.

*Wchodzimy do wnętrza kamienicy, podchodzi do nas jakiś mężczyzna, mocno zaniedbany.*

**Mężczyzna:** Panowie, pożyczycie sześć groszy?

**J.B.:** Sześć groszy? **Proszę.**

**Mężczyzna:** W ramach podziękowania mogę pożartować?

**P.B.:** Jak najbardziej.

**Mężczyzna:** O blondynkach?

**M.L.:** O blondynkach to nie.

**Mężczyzna:** A, bo wy macie blondynki. To milego dnia!

## Ślad ruchliwego miejsca

**M.L.: Gdzie teraz?**

Na ulicę 27 Grudnia.

**M.L.: Znakomity pomysł. Tam przecież mieściło się Prezydium Policji, w którym pracował Zbigniew Kaczmarek, Pana główny bohater.**

Chodziło mi o to, aby stworzyć naszą poznańską legendę policyjną. Brakowało mi w Poznaniu bohatera z przedwojnia, z którym można by się utożsamić.

*Zatrzymujemy się na ulicy 27 Grudnia. Stoimy plecami do kamienicy, w której mieści się redakcja „Gazety Wyborczej”. Po drugiej stronie widzimy parking przylegający do Teatru Polskiego.*

**M.L.: Firma Kaczmarka stała naprzeciwko, prawda?**

Tak, w miejscu, w którym teraz nic nie ma. A konkretnie – stoi szpetny parking. Wyrwa w żywym organizmie.

**M.L.: Jak wyglądało Prezydium? Jak się wkomponowywało w przestrzeń?**

Nie była to okazała kamienica. Stała na narożniku. Pruska policja kupiła w XIX wieku jedno skrzydło, a potem dobudowała drugie. Dwa piętra plus małe poddasze. To tu było słynne Prezydium Policji, skąd ostrzelano w grudniu 1918 roku oddział Polaków, zginęli Andrzejewski i Ratajczak. Ale nie była to walka o Prezydium, jak to potem przedstawiano w powstańczej legendzie. Po 1918 roku przeniosła się tu komenda polskiej policji państwowej. Pracował tu aspirant Zbigniew Kaczmarek, który z czasem awansował na komisarza. Budynek Prezydium – mocno nadszarpięty walkami w 1945 roku – wykorzystywało potem do swoich niecnych celów UB. Rozebrano go, zdaje się, po Czerwcu 1956.

**M.L.: Co widział Kaczmarek, kiedy spoglądał przez okna Prezydium albo którejs z ulubionych kawiarni? Jaki Poznań?**

Przede wszystkim to było bardzo ruchliwe miejsce. Ludzie wręcz przetaczali się przez te ulice, szczególnie w weekendy, na przykład po mszy świętej. To było wówczas prawdziwe centrum miasta. Widać to na zdjęciach na przykład z lat 30.; to wielkie zagęszczenie spacerowiczów robi na mnie zawsze wielkie wrażenie. Co widział Kaczmarek z okna gabinetu? Na pewno fasadę Arkadii, a wcześniej Esplanady. Przesłaniała mu widok na plac Wolności, czyli popularną Plajtę – tak poznaniacy nazywali plac przed wojną. Ale to Kaczmarkowi nie przeszkadzało – co jakiś czas wpadał do Arkadii z szefem, inspektorem Kayserem. Na anyżówkę, oczywiście.

**M.L.: Na tej ulicy mieści się redakcja „Gazety Wyborczej”. Jaki ma Pan widok? Co dzisiaj zwraca Pana uwagę?**

Tak się składa, że przez wielkie okno widzę codziennie to puste miejsce. Zieleń, krzewy, drzewa trochę łagodzą wrażenie rany w miejskim ciele. Ale kiedy podniesie się wzrok i spojrzy na nienaturalną, gołą ścianę kamienicy na 3 Maja, to po prostu żal tego miejsca. Niechby sobie nadal stało tutaj to nieefektywne Prezydium Policji – wyglądałoby stokrotnie lepiej niż dziś!

## Kryminał z szachistą w tle

### **M.L.: Dotarliśmy na ulicę Paderewskiego.**

Tak. Stoimy przy Bazarze, bo wpadłem na fabularny pomysł związany z tym miejscem. W 1928 roku zatrzymał się tutaj światowej sławy mistrz szachowy Aleksander Alechin. Barwna postać, jeździł po świecie i grając symultany, zarabiał na życie. Poznań odwiedził 16 grudnia.

### **J.B.: Czy tutaj też udzielał się w symultanie?**

Zagrał w Sali Białej z trzydziestoma dwoma poznaniakami. Dwadzieścia partii wygrał, sześć zremisował, sześć przegrał. Zachowało się jedno jedyne zdjęcie przedstawiające Alechina, który stoi wśród tych wszystkich stołów. Ustawiono je w kształcie litery U, za plecami graczy – dwa rzędy widzów, przytłumione światło i wielki zyrandol nad uczestnikami spotkania. Lubię takie klimaty! Pomyślałem sobie, że to świetne tło dla jakiejś intrygi kryminalnej. Szybkiej, krótkiej, zwartej, która dzieje się w ciągu trzech–czterech dni.

### **M.L.: Śledztwo będzie prowadził Kaczmarek?**

Tak, młody Kaczmarek. Jest wtedy aspirantem. To jego pierwsza samodzielna sprawa. Musi uchronić Alechina przed śmiercią. Nie wie jednak, gdzie czai się niebezpieczeństwo.

### **M.L.: Poznań lat 20. – co to było za miasto?**

Lepiej znam Poznań lat 30. Ale w grudniu 1928 roku – kiedy toczyć się będzie akcja piątego tomu *Kaczmarka* – Poznań to miasto szykujące się do ogromnego cywilizacyjnego skoku. Za pół roku ma mieć tu miejsce Powszechna Wystawa Krajowa – impreza reklamowa odrodzonej Polski. Miasto na gwałt buduje megahotel Polonia na Grunwaldzkiej, a także stadion miejski na Wildzie. Ten ostatni omal się nie zawali w 1929 roku, kiedy prezydent Ignacy Mościcki będzie otwierał PeWuKę. Skończy się na rysach na konstrukcji. Wspominam o tym w *Meczu*, którego finał rozgrywa się właśnie na tym stadionie.

### **M.L.: Pisząc reportaże o przeszłości Poznania, wertyje Pan gazety z tamtych czasów.**

#### **Czy to było ciekawe dziennikarstwo? Natrafił Pan na jakieś intrygujące osobowości?**

„Kurier Poznański” albo „Dziennik” nie były tabloidami, sensacyjnych informacji nie było w nich za wiele, na ogół grzecznie chowano je w środku. Te gazety miały ambicje dostarczania swoim czytelnikom newsów z całego świata. W dodatku w „Kurierze” widać wyraźnie antyżydowską obsesję... Pokazałem to w *Pętli* – wykorzystałem w niej cytaty z ówczesnych gazet. W przypadku innych książek musiałem nieco „podkręcić” atrakcyjność rzekomych artykułów „Kuriera”, wymyślonych na potrzeby powieści.

*Chwaliszewo.*

### **M.L.: Bardzo Panu zależało, żeby przyjść także tutaj.**

Tak, bo dla mnie najlepszym materiałem fabularnym jest Chwaliszewo. To było kiedyś miejsce, gdzie buzowało życie podskórne, podziemne. Nocne. Niestety, po wojnie straciło swój urok. To, co teraz widzimy, to namiastka. To przestrzeń wykastrowana. Z architektury i z emocji.

W międzywojniu rządził tu i dzielił Antek Ślepek, zwany też – z racji straconego w młodości oka – Ślepym Antkiem. To jeden z głównych bohaterów cyklu moich powieści, prawdziwy chwaliszewski juchta, który kierował eką gibasów, wzbudzających prawdziwy respekt. Nazywał się Antoni Gąsiorowski, był woźnicą w firmie Hartwig. W prawdziwym życiu kilkakrotnie zmieniał adres, więc na potrzeby serii wymyśliłem mu adres fikcyjny – ulicę Owocową (niewiele z niej dziś zostało). Ślepy Antek był często notowany na policji, ale w czasie wojny zasłynął z akcji spalenia niemieckich magazynów w porcie nad Wartą. Gdyby nie on i jego kompani, Armia Krajowa miałaby trudniej. Gąsiorowski zapłacił za to życiem. Ale zanim zginął, mimo skrępowanych dłoni zdążył rzucić się jednemu z przesłuchujących go gestapowców do gardła i przegryźć mu tętnicę. Mocna historia, mocna postać. Warta zapamiętania. W *Kryptonimie Posen* – a więc alternatywnej wersji historii – Ślepy Antek żyje w 1944 roku. I też odgrywa ważną rolę. Ale inną. Może ktoś przeczyta, więc nie zdradzę jaką.

*W podziemiach kawiarenki przy ulicy Sierociej.*

## Ziemia wschowska

**J.B.: Urodził się Pan we Wschowie, mieście szczególnym. Pojawi się w Pana prozie?**

Mignęło w *Rache znaczy zemsta* jako stacja kolejowa, przez którą przejeżdżał pociąg Führera. Marzy mi się napisanie kiedyś fabuły z jakąś fajną tajemnicą historyczną [w *tle słychać ostry dźwięk tłuczonego szkła, ktoś rozbił słoik, w którym podają tu herbatę*], która byłaby – przynajmniej w części – osadzona we Wschowie. Trochę mi żal mojego miasta – ładnego, kiedyś znaczącego ośrodka. Nie będę mitomanem, gdy przypomnę, że była jednym z trzech najważniejszych miast Wielkopolski, która kiedyś składała się z trzech ziem – poznańskiej, kaliskiej i wschowskiej. Ta ostatnia była najmniejsza. Miała jednak status miasta królewskiego, które wróciło do Polski za sprawą Kazimierza Wielkiego i przez długie lata było ważnym punktem położonym na pograniczu. Tu ciekawostka: za Sasów August III, który był bardzo leniwy, gdy nie chciał jeździć na sejm do Warszawy, to zatrzymywał się we Wschowie, bo to było pierwsze miasto już w Polsce, i tu przyjmował posłów, a potem wracał do Saksonii. Przez pewien czas byliśmy więc nieformalną stolicą Rzeczypospolitej szlacheckiej. Ładne miasto. Do dziś zachowało układ na planie krzyża greckiego. Odnowiono mury miejskie, stare miasto odzyskuje wolno blask.

**J.B.: W międzywojniu Wschowa należała do Niemiec? Czy to tu była granica?**

W ręce niemieckie wpadła wskutek drugiego rozbioru. Przez następne trzy–cztery pokolenia uległa takiemu zniemczeniu, że w 1918 roku był tu co prawda polski wiec, ale zorganizowany chyba przez polską mniejszość. Powstańcy wielkopolscy tu nie dotarli, ale gdyby nawet przybyli, raczej nie znaleźliby wsparcia wśród miejscowej ludności. Mało tego, Leszno również było na tyle zniemczone, że powstańcy go nie odzyskali. Podobnie było z Rawiczem. Oba miasta uzyskaliśmy dopiero na mocy traktatu wersalskiego. A Wschowa pozostała w Niemczech, granica przebiegała kilka kilometrów na wschód od miasteczka. We wrześniu 1939 roku nasi ułani zrobili wypad w stronę Wschowy. Drugiego września ostrzelali koszary, przez moment mogło się wydawać, że ta wojna rzeczywiście będzie szybkim marszem do Berlina... Żartuję!

**J.B.: Pana rodzina jest związana ze Wschową z dziada pradziada?**

Nie, mój tata jako roczne dziecko został tutaj po drugiej wojnie wraz z rodziną przesiedlony ze wschodu.

**M.L.: Skąd?**

Z Wołynia. To była mieszana rodzina. Mama mojego taty była pół Polką, pół Ukrainką. Rodzina mojej babci była tak wymieszana, że gdy w 1943 roku odbywały się rzezie, to oni notorycznie uciekali do lasu, bo byli na czas ostrzegani. Nie mam jednak z tego powodu ukraińskiej fobii i drażni mnie, gdy teraz, przy okazji rosyjskiego najazdu na Ukrainę, w Polsce wypomina się Ukraińcom wołyńską historię. Gdyby nikt nie ostrzegł mojej babci, nie byłoby ani mojego ojca, ani mnie.

**„Fajnie byłoby od czegoś takiego rozpocząć”****M.L.: Wróćmy do Pana prozy. Zmęczył się Pan polityką...**

Tak, zmęczyłem się. Zajmowałem się nią w końcu kilkanaście lat. Wystarczy! W ramach odskoczni pisałem reportaże historyczne, część z nich zebrałem pod wspólnym tytułem *Cztery twarze Prusaka*. Szczególnie dumny jestem z tekstu o Stanisławie Matyi. Mam sentyment do tej postaci. On pokazuje pewne poznańskie zjawisko – mają tu wielu bohaterów, o których w ogóle nie dbają. Gdy zabrałem się za jego biografię, byłem zdumiony, że tyle lat po Czerwcu 1956 roku nikt nic o nim nie napisał. Tym bardziej że rodzina jest na miejscu. Żyje syn, wtedy żyła jeszcze żona Matyi. Mnóstwo relacji.

**J.B.: Jakież inne osoby też zapomniano?**

Jeszcze bardziej byłem zaskoczony, gdy pisałem reportaż o Stanisławie Hejnowskim. Przecież to był adwokat znany w Poznaniu już przed wojną. Potem były ciekawe epizody wojenne. Po wojnie bronił Greisera, bo musiał, ale bronił go rzetelnie. Bronił też sądzonych w różnych procesach politycznych i bronił tych z Czerwca 1956 roku, za co go potem SB zniszczyła.

**M.L.: Jak Pan wyszukuje fabuły, postacie, sceny? Jak one się zjawiają w Pana widnokregu?**

Różnie. Na przykład pierwsza scena z *Meczu* nasunęła mi się, gdy oglądałem album o zakładach Cegielskiego. Przedwojenne zdjęcia. Na jednym zobaczyłem fajne, mroczne zdjęcie kotłarni, na którym żeliwne kadłuby stoją w przyciemnym pomieszczeniu. I przebłysk: kurczę, fajnie byłoby od czegoś takiego rozpocząć.

Często coś się tam zbiera „pod sufitem” i dochodzi do momentu, w którym pewne elementy zaczynają się składać. W przypadku Cegielskiego było tak, że wspomniane zdjęcie było zapłonem, ale pomysł, by osadzić akcję w Cegielskim, pojawił się wcześniej. I znów punktem wyjścia był prasowy reportaż, który poświęciłem losom białego Rosjanina – uciekł on z ogarniętej rewolucją Rosji i osiadł w Poznaniu. Był inżynierem w Cegielskim, konstruował parowozy. Nazywał się Borszczow.

**J.B.: Jak wpadł Pan na jego trop?**

Kiedys do poznańskiej redakcji „Wyborczej” przyszedł jego syn, który mieszkał w Niemczech i poszukiwał informacji o ojcu. Chciał o nim napisać jakieś wspomnienie dla ro-

dziny. Opowiedział mi to, co wiedział. Historia jego ojca była dość dramatyczna. Przed wojną wiódł w miarę spokojne i dostatnie życie. Mieszkał w Łęczycy, wsi rozłożonej na stoku, za Luboniem, przy drodze w stronę Puszczykowa. Gdy w roku 1945 weszli wyzwoliciele, to jednym z ich pierwszych ruchów był rekonesans w Łęczycy. Przyjechała tam ekipa i zholowała Borszczowa, którego wywieziono „na niedźwiedzie”. Już nie wrócił.

**M.L.: Mocna historia...**

Wstrząsająca. Przekonałem się wtedy, że prawdziwe są opowieści o słoniowej pamięci sowieckich służb. Że to nie jest wydumane. Że historia o Trockim, zamordowanym czekanem na emigracji w Meksyku, to nie był incydent. Oni po prostu wszystko mieli w detalach rozpisane. Wiedzieli, gdzie tego Borszczowa szukać. Przyjechali i go zabrali. A jego syn nigdy się już nie dowiedział, co się z ojcem stało. Na tę biografię nałożyły mi się przedwojenne obrazki z Cegielskiego. Poznań, sowiecka Rosja, ówczesna Ukraina – układało mi się to kaskadowo w historię o tym, jak działały tamtejsze tajne służby. Potem dokleiło się do tego Strzałkowo, o którym przeprowadziłem rozmowę dla – zdaję sobie sprawę, że zaczynam być nudny – „Gazety” z profesorem Wiesławem Olszewskim (oryginał: lewicowe poglądy, podróże do Afryki, prace o poznańskiej cytadeli). Opowiadał mi, że w obozie w Strzałkowie siedzieli po 1920 roku czerwonoarmiści (co Rosja do dziś politycznie rozgrywa), ale później trafili tam – taki paradoks – nasi sojusznicy, Ukraińcy. Wskutek postanowień ryskich w jednym miejscu osadzono przedstawicieli wrogich armii.

**J.B.: Co za jazda!**

Tak! Takie wydarzenia mnie pasjonują i dlatego umieściłem je w powieści. Potem Piłsudski przeproszał za to Ukraińców. Strasznie mu było głupio.

**J.B.: Drażnienie przeszłości, faktów historycznych naprowadza na takie zrzędzenia losów, że aż korci, by zwracać się w stronę historii alternatywnych, zmyśleń...**  
Yhm.

**M.L.: Jak doszło do tego, że zaczął Pan myśleć o pisaniu fikcyjnych powieści kryminalnych?**

Po prostu lubię czytać kryminały. Byłem pod wielkim wrażeniem – jak wielu zresztą – kolejnych powieści Marka Krajewskiego, a potem Marcina Wrońskiego. Przyznaję bez bicia: podszedłem do sprawy dość instrumentalnie. Pomyślałem sobie, że skoro kryminały są tak nośne i popularne, to może warto ich użyć do przemycenia czegoś więcej. Ważna była dla mnie nie tyle intryga kryminalna (choć wszelkie reguły gatunku staram się respektować), ile to, co przy okazji ona odsłania. Na przykład w *Meczu* pojawia się historia sowieckich służb, którzy szukają wrogów poza granicami Kraju Rad, oraz losy naszych zdradzonych, ukraińskich sojuszników. W *Pętli* opowiadał o Żydach wysiedlonych z Rzeszy. Z kolei w *Kryptonimie Posen* pojawiają się gra wywiadów, próbka wizji Polski, która uniknęła klęski w 1939 roku, oraz antypolski spis. Staram się, by te książki miały jakąś wartość dodaną. Bo pisanie kryminału dla samego kryminału raczej mnie nie interesuje. Po prostu bardziej kręcą mnie faktyczne dzieje i chętnie coś z nich przemycam w moich fabułach.



## „Mam tylko wieczory”

### **M.L.: Lubi Pan pisać kryminały? Cieszy Pana tworzenie?**

Nie tworzę wybitnych intryg kryminalnych. Moje fabuły są dość proste. Lubię jednak, jak już wspomniałem, doklejać do nich inne wątki i tematy. Pasjonują mnie te momenty w pisaniu, gdy tworzę fabułę i nagle dociera do mnie, że można by to ująć zupełnie inaczej. Gdy piszę, nie mam szczegółowej wizji fabuły. Znam szkielet powieści. Wiem, jak coś ma się zacząć i – mniej więcej – jak ma się skończyć. Natomiast pomiędzy improwizuję. Najprzyjemniejsze jest wybieranie spośród wielu fabularnych możliwości. Być może dzieje się to ze szkodą dla konstrukcji powieści, ale właśnie to najbardziej mi się podoba w tej robocie. Nie uznaję moich książek za kryminały. Wolę o nich myśleć jako o powieściach sensacyjnych.

### **M.L.: Coś w tym jest...**

To są powieści sensacyjne z pewną ambicją pokazania czegoś jeszcze. Taka, mam nadzieję, inteligentna rozrywka. Zresztą nie ukrywam pewnej koniunkturalności. Gdy na przykład pisałem *Mecz*, a działo się to rok przed Euro 2012, pomyślałem, że gdy w mojej powieści pojawi się futbol, to rzecz będzie łatwiej promować. Akurat!

### **M.L.: Długo Pan pisze poszczególne powieści?**

Mogę to robić tylko wieczorami i nie zawsze mi się chce po całym dniu dziennikarskiej roboty. Czasami w weekendy. Gdy mam już ukształtowany pomysł, to jedna rzecz powstaje przez kilka miesięcy. Teraz kończę te historię o Alechinie w Bazarze, jej napisanie zajęło mi raptem cztery miesiące. Czasami wydaje mi się, że gdybym mógł piśnieniu poświęcać całe dnie, to książka powstałaby wcześniej. Bywa wkurzające, że mogę pisać dwie godziny dziennie i muszę kończyć, bo trzeba następnego dnia wstać do pracy, wcześniej zawieźć dzieciaki do szkół. Ma to jednak tę zaletę, że pisaną właśnie powieść mogę ciągle obmyślać, przebudowywać. Może dzięki temu liczba błędnych wyborów jest mniejsza. Pisanie w kawalkach.

### **J.B.: To wymaga wielkiej samodyscypliny.**

**M.L.: Ja bym wieczorem nie dał rady.**

**J.B.: Ja też.**

Nie mam po prostu wyboru. Mam tylko wieczory. Czasami trzeba się zmusić. Bywało, że kiedy zmęczony zasiadałem do pisania wieczorem, to następnego dnia rano stwierdzałem, że to jest do bani, i trzeba było zaczynać na nowo.

### **M.L.: Kiedy ukaże się najnowsza powieść?**

Nowego Kaczmarka wyda jesienią Wydawnictwo Miejskie. Roboczy tytuł: *Arcymistrz* [książka ukazała się w listopadzie 2015 roku – przyp. red.]. Natomiast w maju [2015 – przyp. red.] w Media Rodzina ukaże się coś innego. Powieść współczesna (fabuła osadzona w 2010 roku). Rzecz sensacyjna i również nawiązuje do historii, do poznańskiej zagadki miejskiej. Fabuła osnuta jest wokół losów jednej z ofiar stanu wojennego, oczywiście przetworzonych, niepodanych w skali jeden do jeden. To będzie śledztwo młodego dziennikarza, który podąża tropem niewyjaśnionej historii z okresu stanu wojennego. Początkowo tego nie czuje, bo jest młodym „sztyfem” i zupełnie nie zna tamtych czasów. Powoli go to jednak wciąga, wprowadza nawet w stany euforyczne i prowadzi do odkrycia czegoś większego niż to, czego szukał.

## „Nie jestem zimnokrwistym” biografem

**M.L.: Dlaczego w książce *Cztery twarze Prusaka* nie ma żadnych historii związanych z Marcem 1968?**

Nie ma, to prawda. Ale pisałem takie. Najbardziej pamiętam historię profesora Władysława Panasa, pracownika naukowego UAM, usuniętego w marcu '68 i potem przez wiele lat pracującego na KUL. Zmarł nie tak dawno temu. Drugą znaną postacią związaną z tamtym okresem był profesor Wiktor Jassem. O profesorze Panasie wiele opowiedziała mi pani profesor Zofia Trojanowiczowa. Gdybym dziś układał zbiór *Cztery twarze...*, włączyłbym do niego historię Panasa. Chciałbym też, aby znalazł się tam tekst o profesorze Jacku Fisiaku.

**J.B.: Jak się Panu pracowało nad materiałem o tej złożonej figurze poznańskiego uczonego?**

Dużo mnie to kosztowało. Nie jestem zimnokrwistym człowiekiem, który nie przeżywa spisanych przez siebie historii. Losy Fisiaka były przejmujące. Z jednej strony podniósł standardy dotyczące spraw strictly naukowych. Z drugiej, jeśli chodzi o kwestie moralne, był bardzo, bardzo... Nie wiem, jak to ująć...

**J.B.: Był chyba tajnym współpracownikiem SB?**

Sprawa jest złożona. Bezpośrednich dowodów nie ma, ale cała sekwencja wydarzeń wskazuje na to, że był w bliskim kontakcie ze służbami. Katarzyna Kretkowska opowiadała mi historię, która mnie poruszyła. Zaraz po wprowadzeniu stanu wojennego na uczelni pojawili się esbecy, którzy szukali doktora Krzyżanowskiego. Fisiak zjechał z nimi windą w Collegium Novum i akurat Krzyżanowski się napatoczył. Fisiak powiedział wtedy do nich: „To jest on”. I go zabrali, trafił do obozu w Gębarzewie. Co ciekawe, doktor Krzyżanowski nie chciał mi tego opowiedzieć. Wiem to dzięki Kretkowskiej i kilku innym świadkom.

**M.L.: No a co na to sam profesor?**

Oczywiście to bagatelizował. Mówił, że to był przypadek, że dobrze nie pamięta. Nazwisko Fisiaka pojawiało się też przy okazji pisania tekstu o Panasie. Odegrał negatywną rolę w zwalnianiu profesora Jassem.

**J.B.: Pamiętam Fisiaka z początku studiów, z lat 1988–1989, kiedy uczestniczyłem w strajkach na uczelni organizowanych przez NZS. Starsi koledzy ze zrzeczenia mówili o nim właśnie jako o człowieku związanym ze służbami.**

Oglądałem dokumenty w IPN powstałe w związku z tymi strajkami. Na temat naprowadziła mnie Anka Gruszecka. I teczki Fisiaka jako tajnego współpracownika tam nie było. Natomiast jego nazwisko pojawiało się w dokumentach wymienianych wówczas przez milicję i SB. Występował tam jako osoba, z którą służby się konsultowały.

**J.B.: W tym, co Pan nam teraz opowiada, dostrzegam ciężenie w stronę biografii różnych osób. Pociąga Pana biografistyka? Czytuje Pan biografie, które współcześnie się ukazują?**

Ostatnio czytałem świetną biografię Edwarda Gierka pióra Piotra Gajdzińskiego (*Gierek – człowiek z węgla*). Sprawnie napisana. Nowocześnie. Ten temat mnie kiedyś interesował, szczególnie od strony obyczajowości, tego pozornego gierkowskiego dobrobytu. Jako dziecko zapamiętałem z tamtego okresu wielkie czerwone lizaki. Kruche, trudne do

zjedzenia, ale takie nęcące! Lata 70. Pamiętam też Pewexy. Ktoś, kto się w nich zaopatrywał, był nie byle kim. Przypomniały mi się także pracownicze wczasy z rodzicami. Podobał mi się sposób, w jaki książka została napisana, bliski biografom w stylu zachodnim, a nie polskim, takim do znudzenia historycznym. Biografia zagadnieniowa, a nie w porządku chronologicznym. Może i przyczynkarska, ale bardzo ciekawa. Poza tym Gajdziński w nie-nachalny sposób demistyfikuje osobę Gierka. Duża rzecz.

To smutne, ale prawdziwe: na czytanie innych rzeczy niż tych związanych z pracą w „Wyborczej” mam niewiele czasu. Być może w przyszłości dam sobie z dziennikarstwem spokój. Być może.

**M.L.: I czym będzie się Pan zajmował?**

Chciałbym utrzymywać się z pisania. Własnego, nie na etacie. Ostatnio spróbowałem pisać scenariusz. Powstał z własnego kryminału. Dostałem niedużą nagrodę, ale ważniejsze jest to, że pojawiła się pewna szansa na realizację filmu. Gdyby to wypaliło, pojawiłoby się coś nowego, co by mnie kręciło. Być może spróbowałbym wtedy sił w pisaniu scenariuszy od podstaw, nie w adaptowaniu istniejących już powieści.

## „Mocne spojrzenie na życie”

**M.L.: Porozmawiajmy przez chwilę o kryminałach, które Pan czytał. Wspomniał Pan o Krajewskim...**

Nie zacząłem od początku, to znaczy od powieści *Śmierć w Breslau*. Bardzo mi się tam spodobała postać Sofie. Niezwykły klimat mrocznej relacji Mocka z żoną. Potem już poszło – przeczytałem wszystkie powieści z Mockiem. Natomiast Popielski i lwowskie wątki mniej mnie przekonują. Krajewski jest najlepszy w budowaniu klimatu grozy, niepokojącego tła. Przypomina mi czarno-białe niemieckie filmy ekspresjonistów. I te szeptane kwestie po niemiecku, pobrzmiwające z offu!

**J.B.: Wspominał Pan też o Marcinie Wrońskim.**

To już zupełnie inna sprawa. Jego detektyw, Maciejewski, to postać Polaka zawiadziaki. Podobały mi się też cztery powieści kryminalne Konrada Lewandowskiego. Szczególnie ta, której akcja dzieje się w międzywojennym Poznaniu, przy okazji PeWuKi. To jest pisarz, który ma niesamowicie zrobiony research, drobiazgowo zna epokę, w której osadza daną powieść. Odpowiednia muzyka sączy się w tle. Na scenie lokalnego teatru grają coś z ówczesnego repertuaru. Jest jeszcze Bartłomiej Rychter i jego *Ostatni dzień lipca*. Niby kryminał, ale rzecz dzieje się tuż przed powstaniem warszawskim i w jego pierwszych dniach. Świetnie skonstruowana dwutorowa fabuła: jest polski bohater, ale także niemiecki żołnierz, który walczy z powstańcami, a równocześnie prowadzi prywatne śledztwo w sprawie śmierci kolegi, homoseksualisty. Imponuje mi u tych autorów konstrukcja wielowątkowych, złożonych fabuł, rozgrywających się w wielu miejscach. Ja pod tym względem jestem outsiderem, ale też mi się marzy coś takiego.

**J.B.: Jakież zagraniczne powieści kryminalne?**

**M.L.: Jest Pan chandlerystą, tak jak prawie każdy z nas (śmiech)?**

Chandlera czytałem w liceum i mnie nie porwał. Bardzo za to lubię trylogię marsylską Jean-Claude’a Izzo. Imponują mi pisarze kryminałów, którzy prowadzą narrację w pierw-

szej osobie. Ja bym tak nie potrafił – to chyba wymaga silnej osobowości, twardego spojrzenia na życie, oceanu wiedzy o życiu i doświadczeń. Podobało mi się również kilka kryminalów Marthy Grimes, dlatego że konsekwentnie trzyma się lokalnych środowisk. Bardzo lubię też książki Arturo Pérez-Reverte’a, imponuje mi erudycją i umiejętnością budowania suspense. Tym, jak wplata historię w swoje powieści. Jak tworzy tajemnicę, napięcie. Mistrz.

**J.B.: A co z filmami kryminalnymi? Serialami o zabójcach i detektywach?**

Ostatnio widziałem bardzo dobry czeski kryminal *W cieniu*. Rok 1953 w Czechosłowacji. Praga. Ginią ludzie. Śledztwo prowadzi człowiek z bezpieki. Potem okazuje się, że nie o zwykłe morderstwa tu chodzi, ale o zabójstwa będące efektem porachunków w tajnych służbach. Do tego dochodzi wątek żydowski, nawiązujący do wojny. Oto esesman, który w czasie wojny był funkcjonariuszem w obozie koncentracyjnym, teraz jest enerdowskim policjantem. Świetny, logiczny splot wątków.

Chyba nie jestem szczególnym miłośnikiem klasycznego filmu kryminalnego, choć niegdyś lubiłem filmy z Alainem Delonem. Może dlatego, że w końcu komunizmu, gdy dorastałem, można go było zobaczyć w naszej telewizji (*śmiech*). Ale Francuzi nadal potrafią kręcić dobre kryminały. Najbardziej jednak lubię produkcje historyczne z wątkiem kryminalnym. Świetna na przykład była *Czarna księga*. Rzecz dzieje się w okupowanej Holandii. Rok 1944. Rzesza niemiecka upada, ale w Holandii cały czas są obecni i rządzą Niemcy. Fabuła dotyczy Holendrów kolaborujących z okupantem – wystawiają im Żydów na śmierć po to, by przejąć ich majątki. Do końca filmu nie wiemy, kto jest tym głównym czarnym charakterem. Napięcie i niewiadoma jak w typowym kryminale.

**M.L.: To może chodźmy na Piekary?**

Do Wilhelminy Günther?

**M.L.: Tak.**

Dobrze.

**M.L.: Ale jeszcze najpierw poproszę o autograf. Mam tutaj *Pętlę*.**

Czytał pan?

**M.L.: Tak. Przeczytałem wszystko, co Pan napisał – z wyjątkiem *Rache znaczy zemsta*, którą dopiero jutro odbieram z biblioteki.**

Ciekaw jestem pana opinii o *Pętli*, bo miałem trochę kłopotów z jej wydaniem. Nie wiem, czy dlatego, że jest trochę inna?

**M.L.: Jak dla mnie lepsza od poprzednich Pana powieści. Tamte są niekiedy za bardzo komiksowe. I jeśli trudniej się ją Panu pisało od pozostałych, to dla mnie to sygnał, że jest dobrze.**

Tak, było trudniej. *Pętlę* i *Rache znaczy zemsta* cenię sobie najbardziej. I rzeczywiście, obie mi się trudno pisało.

**M.L.: Książka nie może się łatwo pisać (*śmiech*).**

## Ciągle Czerwiec 1956

*W drodze do Wilhelminy Günhter. Skręcamy ze Świętego Marcina w Piekary.*

**M.L.: Gdyby zamówiono u Pana kryminał z najnowszych dziejów tego miasta i dano wolną rękę co do wyboru historycznego momentu, to co by Pan wybrał?**

Chyba jednak Czerwiec 1956. Utrzymałbym to w poetyce powieści sensacyjnej, z jakąś tajemnicą, z dużym ładunkiem emocjonalnym. Wykorzystałbym być może to, co działo się wówczas na Ławicy. Komuniści urządzili tam obóz filtracyjny dla zatrzymanych, było dużo znęcania się milicji i ubeków nad poznaniakami.

**J.B.: A co Pan sądzi o filmie Filipa Bajona o tamtych wydarzeniach?**

Bardzo mi się podobał. Ta czerń i biel! Szczególnie lubię scenę w górczyńskim kościele Matki Boskiej Bolesnej. Ten najazd kamery z dołu, dający wrażenie, że chłopak frunie w górę ołtarza! Chłopak – syn ubeka. Fajna scena!

**M.L.: A ma Pan już może w głowie jakieś kadry, sceny ze swojego Poznania '56?**

Wiele o nim pisałem w reportażach do gazet. Myślę, że wykorzystałbym wypadki, które działy się trochę obok tego, co miało miejsce w mieście.

**M.L.: Wczoraj rozmawiałem o tamtych czasach z moim dziadkiem. Był wtedy w wojsku i tuż po 28 czerwca 1956 roku, na początku lipca, wysłano jego oddział właśnie do Poznania. Opowiadał, że całymi dniami snuli się beczynnie po ulicach.**

Przypomina mi się historia, którą opisałem w jednym z moich reportaży, o pewnym więzieniu na prowincji, konkretnie w Mrowinie pod Szamotułami. Ktoś z załogi pojechał 28 czerwca do Poznania i wrócił z wiadomością, że władzy już nie ma, że miasto wrze. Zdecydowano więc o otwarciu więzienia i wypuszczeniu osadzonych. Część więźniów uciekła, ale część była nieufna, bała się i siedziała na dziedzińcu. Wieczorem przyszły nowe informacje z Poznania – i tych z dziedzińca na powrót zamknięto w celach. Zaczęto też wylapywać tych wypuszczonych. Nie wszystkich ujęto. Świetny materiał na scenariusz, prawda?

**M.L.: To jest fascynujące w historii: gdy się wydarza, nie wiemy, co tak naprawdę ma miejsce, jak to rozumieć, jak to zostanie później zdefiniowane.**

Przypomina mi się, jak to było w przypadku Stanisława Matyi. Zaprowadził demonstrujących robotników z Ceglorza na plac Mickiewicza i sytuacja zaczęła mu się wymykać spod kontroli. Pojawiły się różne propozycje. Jedni krzyczą, by iść na więzienie, inni – na UB! Matyja był przerażony. Chciał ich tylko przyprowadzić na plac, a już za chwilę oni idą na karabiny.

**J.B.: Przypomina się inny znany z tego dnia fakt – samosąd na Dworcu Zachodnim.**

Tak, przechodnie zmasakrowali tam kaprała Izdebnego, bo ktoś rozpoznał w nim wartownika z gmachu UB. Ta historia pokazuje, jak ogromny ładunek nienawiści do władz drzemał wtedy w ludziach.

## Skwer Wilhelminy

### **J.B.: No to jesteście na Piekarach.**

*Stoimy plecami do Świętego Marcina, na chodniku po lewej stronie jezdni. Przed sobą mamy wieżowce, w których między innymi znajduje się bank i jedna z rozgłośni radiowych. Nasz rozmówca wskazuje na te budynki i parkingi przed nimi.*

Na przedwojennych fotografiach widać bardzo ładną zabudowę tej części Piekar. Stały tutaj wysokie i szerokie kamienice. Robią naprawdę duże wrażenie. Gdzieś tutaj mieszkała Wilhelmina Günther, o której kiedyś pisałem. Jej matka była Polką, ojciec Niemcem. Formalnie mieli papiery obywateli polskich narodowości niemieckiej. Gdy w 1939 roku do Poznania wszedł Wehrmacht, zostali oczywiście folksdojczami. Ale dziewczyna zakochała się w Antonim, polskim sąsiędzie z naprzeciwka, mieszkali drzwi w drzwi. Nie mogli się jednak pobrać, choć bardzo chcieli – prawo III Rzeszy zabraniało związków Niemek z untermenschami (niem. podludźmi). Ktoś zadenuncjował Antoniego. Zmarł w Auschwitz. Wilhelmina postanowiła zemścić się na Niemcach – dzięki polskim koleżankom wstąpiła do AK, złożyła przysięgę w Warszawie. Zbierała informacje o nastrojach na policji, gdzie pracowała w biurze. Wpadła podczas wielkiej wsypy, z wyroku nazistowskiego sądu zginęła na gilotynie. To dzięki Wilhelminie narodził się mój pomysł na powieściową Wilhelminę, która także – podobnie jak tamta, autentyczna postać kobieca – romansuje z Polakiem i związek ten nie ma większych szans. Byłoby fajnie, gdyby powstał skwer, którego nazwano by imieniem tej prawdziwej Wilhelminy. To niesprawiedliwe, że dotychczas jej nie upamiętniono.

### **J.B.: Co miałyby oznaczać taki toponimiczny gest?**

To była naprawdę wyjątkowa postać. Mówiła po polsku, ale bardziej czuła się Niemką. Czytałem o tym w jej listach oraz w zeznaniach, które składała przed nazistowskim trybunałem. Myślę, że prawdziwe były jej słowa o tym, że zawsze czuła się związana z Niemcami. Zainteresowałem się tą kobietą dzięki pani Małgorzacie Wiater, germanistce z V LO. Przeprowadziła tu kiedyś swoich licealistów oraz uczniów szkoły średniej w Berlinie, z którą poznańskie V LO współpracuje. Przyszedł z nimi niemiecki nauczyciel historii, którego poruszyły losy Wilhelminy i mówił o niej jako o rzadkim przykładzie odwagi cywilnej. Taka młoda osoba potrafiła – wbrew okolicznościom, wbrew potędze III Rzeszy – dokonać takiego wyboru. Mam nadzieję, że choć w części przypomni ją zbiór reportaży wojennych, który przygotowuję.

### **J.B.: Jako poznaniacy ciągle mało wiemy o Niemcach, których biografie wpisały się w dzieje miasta. Przecież duża część jego architektury została zaprojektowana i wybudowana przez nich.**

Mało tego. Ciągle niewiele wiemy o licznych mieszanych polsko-niemieckich związkach małżeńskich. Choćby małżeństwo Güntherów, rodziców Wilhelminy. Zresztą zakończone bardzo dramatycznie, bo okazuje się, że matka, Polka, po wojnie została w Poznaniu, a ojciec wrócił do Niemiec. Rozeszli się, bo ona nie mogła darować mężowi, że nie zrobił wszystkiego, aby uratować córkę. Ojciec Wilhelminy napisał błagalny list do Hitlera. Długo nie mógł się zdecydować, ale w końcu się zламаł i go wysłał. Jako były żołnierz powoływał się na swój udział w pierwszej wojnie. Liczył na to, że Hitler go zrozumie. Oczywiście nic to nie dało. Matka uważała, że zrobił zbyt mało.